Nr 53 (1563). Warszawa, 31 grudnia 1910 r. Rok XXX

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na kwartał 1-szy r. p.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Mobilizacja żargonowa.

A. Leroy-Beaulieu poświęcił zbadaniu kwestji żydowskiej spory tom studjów („*Israël chez les Nations*"), gdzie w sposób równie przekonywający, jak szlachetny, zwalcza przesądy i metody antysemickie, lubujące się w przypisywaniu żydom niebezpiecznych i zaborczych aspiracji. Tym nie mniej mimo całego dla żydów pobłażania, uczony francuski staje w zadumie nad brzegami Wisły, w tym kraju mazowieckim, który dziś jakby nową Palestynę stanowi, centrum wszechświatowego żydostwa, skąd co rok wyruszają liczne zastępy na Zachód, a mimo to nieprzebrane masy tworzą rosnący odsetek krajowych cudzoziemców.

Nic podobnego niemasz w żadnym kraju, to też nigdzie sprawa żydowska nie przedstawia się tak niepokojąco, nigdzie tyle nie zaprząta miejsca i uwagi, nigdzie nie doprowadza do tak jaskrawych i radykalnych rozstrzygań, nigdzie nie sięga tak głęboko we wszystkie dziedziny życia...

Istotnie, Polska jest jedynym na świecie krajem, który liczyć się musi z obecnością 15% obcych i częściowo wrogich pierwiastków w swym organizmie narodowym. Dopóki miljonowa ta rzesza zalegała biernie i milcząco odrębne swoje wyznaniowe siedliska, gdzieś bardzo głęboko pod powierzchnią życia — można było ignorować jej fizjognomję obyczajowo-rytualną, oraz godzić się z jej zupełną nieobecnością w sprawach ogólnego znaczenia. Żydowstwo polskie miało na swym czele zastęp inteligencji zasymilowanej, która z olbrzymim nakładem trudu i ofiarności, z wielkim taktem i rozumem pełniła niewdzięczną rolę przedstawicielstwa wobec opinji polskiej, wobec tej przybranej swojej ojczyzny, do której duszą i sercem należy.

Ci ludzie, tak namiętnie i tak haniebnie spotwarzani dziś przez prasę żargonową, nieocenione oddali żydom usługi: wobec jątrzonych co chwila antagonizmów, bardziej niż kiedykolwiek pamiętać się godzi, że niegdyś antysemityzm był wyjątkowym tutaj zjawiskiem, że opinja polska nagół była mu przeciwną i odgradzała się odeń usilnie. Dzięki świetnym zaletom umysłu i charakteru tutejszych żydów zasymilowanych, Polska była krajem najmniej może w Europie żydożerczym, choć najbardziej na pokusy antysemickie wystawionym...

* * *

Warunki zmieniły się na gorsze. Asymilacja wobec przeszkód od nas niezależnych, żółwim postępuje krokiem: przyswaja nadal narodowi polskiemu wartościowy bardzo dobór jednostek, lecz do mas zaledwie dosięga.

Duch czasu innymi przenikna do nich drogami: odrębność wyznaniowa mas żydowskich zmienia się dziś na separatyzm świecki.

Mobilizacja żargonowa szybkim odtąd postępuje krokiem. Po przejściowej, czysto epizodycznej dywersji na tle rewolucyjno-społecznym — ustalać się zaczyna jej nacjonalistyczny charakter, pełen uprzedzeń i niechęci względem dawnych polskich tradycji Janklów Cymbalistów i Berków Joselowiczów.

Całym brzemieniem nienawiści zwalił się żydowski nacjonalizm na czołowy zastęp asymilatorów. Bru-

talne i ordynarne ręce pragną zepchnąć ich z dotychczasowych przewodnich stanowisk; mogą się one stać rychło placówką nieprzejednanego litwactwa, które usiłować będzie w ciągu jednego roku zburzyć mozolną i dodatnią pracę kilku pokoleń... Bynajmniej nie jest przypadkiem, że w tym samym czasie, kiedy p. Zabotinskij z Odessy dekretuje utrakwizację Polski, która ma się stać krajem dwujęzycznym i dwunarodowym — czcigodne postacie Nussbaumów, Dicksteinów i Natansonów stają się celem błotnistych napaści ze strony nieprzejednańców żydowskich. Ci ostatni zwracają się z największą furją przeciw spolszczonym i kulturalnym swoim współplemieńcom, bardziej przez nich znienawidzonym i okrzyczanym, niż najzajadlejsi antysemici. Nacjonaliści żydowscy imają się gwałtownie i pośpiesznie wszystkich szematów nacjonalizmu, jakby chcąc hałasem twierdzeń buńczucznych przygłuszyć wewnętrzny głos który pyta: jesteście-ż narodem, czy sektą? Nacjonalista żydowski chce wznieść gmach narodowy na fundamencie gminy wyznaniowej, chce wyzwolić, rozwinąć, równouprawnić, zmodernizować masy żydowskie — ale *spolszczyć* się im nie pozwala.

Wobec tego z dniem każdym pogłębia się przepaść niechęci pomiędzy żydem-nacjonalistą, a żydem-Polakiem.

Wyraz „*antysemityzm*" w ustach nacjonalistów nabiera dziś nowego zupełnie znaczenia, podobnie jak i wyraz „*judaizm*".

Wiadomo, jak szczodrze szafuje słowem „antysemityzm" prasa żargonowa względem redakcji *Izraelity*. Niejeden żyd-Polak znajduje się w tym samym położeniu, bowiem dość mu było stanąć wpoprzek ambicjom Jackanów i Zabotinskich, by zostać z pośród Izraela wyobcowanym, jako „wróg" i „zdrajca".

Nic dziwnego też, że wobec wspomnianych aspiracji żaden Polak, najbardziej nawet postępowy, tolerancyjny i humanitarny, nie może, nie powinien trwać w biernym kwietyzmie. Ale nie może i nie powinien również iść na lep żydożerstwa; przeciwnie — powinien z nim walczyć w imię godności kultury polskiej. Jest on obowiązany czynić staranny i zasadniczy wybór między typem Żabotinskich i typem Dicksteinów, niosąc poparcie i otaczając sympatją żydów spolszczonych, którzy sami są dziś celem szykan i napaści ze strony wrzaskliwych żargonowców. Dzień każdy niesie dowody, że nacjonaliści żydowscy nowej daty nie krępują się żadnymi względami. Toć nawet żydzi, mieszkający na obczyźnie, lojalni poddani Prus, Rosji, Austrji — zaczynają traktować Polskę, jako „ziemię obiecaną", domniemany teren kolonizacji, wyjęty z pod ogólnej reguły. Sjonizm, który obiegł wszystkie części świata, szukając gruntu pod budowę przyszłej Judei i wrócił do Polski z próżnemi rękami — każe tutaj zwolennikom swoim roztasowywać się jak w zdobytym kraju. Żydowscy działacze wyzbyli się rychło marzeń o Palestynie i Ugandzie; dzisiejszy pokaźny „stan posiadania" każe im zapomnieć o mitycznym gdzieś w Azji Edenie; zarazem jednak zdają się oni zapominać o wszelkich granicach możliwości i wszelkich względach taktu politycznego. Do długiego szeregu zamiennych w tej mierze wymarzeń przybywa świeżo odezwa, którą *Dziennik Poznański* wykrył w pewnym węgierskim organie sjonistów. Zwraca się ona, między innymi, do żydów galicyjskich z wezwaniem do zupełnego opanowania tej ziemi, drogą wyparcia rdzennych mieszkańców z każdego zawodu i zagarnięcia wszystkich źródeł wytwórczych w swoje ręce, obiecując w tym celu poparcie materjalne jakiegoś „związku sjonistycznego w Paryżu".

Powyższe *curiosum* może być wprawdzie apokryfem, łudząco podrobionym pod styl neojudaistycznych aspiracji, co wypadało by sprawdzić osobom, bezśrednio w tej sprawie zainteresowanym; ale może być również autentycznym i bardzo znamiennym dokumentem, nad którym niepodobna przejść do porządku dziennego.

W tych warunkach szermierze asymilacji wśród żydów mają niełatwe do spełnienia zadanie. Winni oni zyskać czynniejsze niż dotąd poparcie ze strony tych, co rozumieją, że nietylko chodzi tu o interes polski, ale i o dobro masy żydowskiej, bo pod przewodem Jackanów stoczy się ona beznadziejnie po pochyłej równi ku najwulgarniejszemu ze wszystkich nacjonalizmów.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zgodnie z powszechnym przewidywaniem, angielska batalja wyborcza potwierdziła w bieżącym miesiącu werdykt styczniowy, który wypadł na niekorzyść zachowawców, jakkolwiek dawna wyjątkowa większość bloku radykalnego doznała poważnego uszczerbku. Dziś opozycja może przeciwstawić w Izbie Gmin 272 głosy 398 głosom bloku rządowego; postępowcy mają tedy nad zachowawcami przewagę 126 głosów. Jeśli ilość nie pozostawia nic do życzenia, inaczej rzecz się ma ze składem osobistym wspomnianego bloku; owe bowiem 126 głosów wypada całkowicie złożyć na karb sprzymierzonej z rządem Partji Pracy (43) i frakcji irlandzkiej Redmonda (74) i O'Briena (10). Stanowi to właśnie achillesową piętę dzisiejszego rządu; tym sposobem irlandczyk Redmond jest nadal panem położenia w parlamencie, dowolne może stawiać warunki i dowolnie przechylać szalę zwycięztwa: metoda, którą b. prezes Koła Polskiego usiłował zaszczepić w Petersburgu, nie wiedząc, że dla tych europejskich płonek klimat jest w Rosji za surowy. Z natury rzeczy musi frakcja irlandzka poprzeć lewicę radykalną, bowiem *home rule* stanowi dla zachowawców tradycyjny szkopuł nie do przebycia, wszelka zaś decentralizacja sprzeczną być musi z taktyką „unionizmu". Jedynie tryumf idei demokratycznej w Anglji, jedynie rozbrat radykalny z rygorem stosowanym od setek lat względem nieszczęsnej „zielonej wyspy", może zapewnić tej części Zjednoczonego Królestwa byt normalny, a zarazem — uzdrowić angielskie stosunki parlamentarne. Bowiem zdrowym nie można nazwać takiego stanu rzeczy, w którym czynnikiem rozstrzygającym w najważniejszych sprawach wewnętrznych — na podstawie li tylko formy ilościowej — są właśnie ci upośledzeni Irlandczycy, którym — o ironjo! — naród angielski nie pozwala gospodarzyć u siebie w domu, a których dominację musi sam u siebie znosić cierpliwie i lojalnie, przez poszanowanie dla własnych ustaw...

Zawiele mają Anglicy kłopotu z Irlandją, po macoszemu przez się traktowaną: niedawno jeszcze *fenianie* szerzyli popłoch w stolicy serją zamachów dynamitowych; dziś terror tego rodzaju wyszedł z użycia, na rzecz innego terroru — parlamentarnego,

którego nie omieszka zastosować skutecznie J. Redmond, dzisiejszy „pan i władca" Wielkiej Brytanji...

Przeciętny Anglik, mimo całego parlamentarnego lojalizmu, z wielkim bardzo mozołem da się nakłonić do tego stanu rzeczy, w którym widzieć należy sprawiedliwy gest Nemezydy; tak mścić się musi z czasem system upośledzeń i represji narodowościowych, tak odbić się on musi na ciemięzcach, wskutek rozwoju urządzeń społecznych w ich własnym kraju, wskutek tej właśnie wyższości kultury którą chlubili się zawsze, a która dziś broń daje do ręki obywatelom „drugiego rzędu"...

Jeśli Anglja uniknąć chce dziś, u siebie, w murach starego Westminsteru, upokarzającej dyktatury irlandzkiej — ma dwie drogi do wyboru — i te dwie drogi są obie bardzo charakterystyczne: musi albo złamać lojalizm demokratyczny względem większości, co uszkodzi całą machinę konstytucyjną i cofnie wstecz dorobek polityczny Anglji, będący jej chlubą i potęgą; albo też — wywieść Irlandczyków z Westminsteru, dając im Sejm własny w Dublinie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wybierze Anglja sposób ostatni — i śmiało rzec można, że w obecnym stanie rzeczy jest on jedynym racjonalnym sposobem rozwiązania jątrzonej od 300 lat kwestji irlandzkiej i jedynym również środkiem sanacji wewnętrznych stosunków w parlamencie.

Radykalizm angielski, dając Irlandji autonomję, przysłuży się zarówno własnej ojczyźnie, jak i całej ludzkości.

Bowiem *home rule* ma nietylko lokalne znaczenie; autonomja irlandzka stanowić może ważny i pożądany precedens w prawie międzynarodowym, z czego w swoim czasie korzystać będą wszystkie mniejszości narodowe w państwach złożonych.

Dotąd widziano zazwyczaj w stosunku Anglji do Irlandji typ klasyczny panowania jednego narodu nad drugim; niedawno jeszcze powołał się na ten klasyczny wzorzec — *à propos* Finlandji — rosyjski premjer Stołypin w rozmowie z pewnym angielskim dziennikarzem; premjer pospieszył się świadomie, bowiem w roku przyszłym jużby mu tego przykładu zabrakło.

A przecież Irlandja bynajmniej nie jest terenem czysto narodowych zatargów, bowiem czynnik społeczny dominuje tam nad politycznym. Angielski stan posiadania jednoczy się z wielką własnością ziemską; interes *landlorda* nie jest jednak interesem narodu, zwłaszcza w chwili, kiedy naród angielski wypowiedział wojnę swoim lordom. Kwestja irlandzka komplikuje się tedy *kwestją rolną* i ztąd wywiązać się muszą niezmierne trudności, z którymi *home rule* porać się będzie lat dziesiątki.

Podobny stan rzeczy obserwować możemy bliżej, bo w Galicji Wschodniej, tylko że tu niemasz dość wpływowego i śmiałego radykalizmu, któryby miał możność normalnego rozwiązania kwestji polsko-rusińskiej.

Silny zamierzonym szeregiem reform, mając w ręku dwukrotny werdykt głosowania, które jest w Anglji jakby rodzajem *referendum*, rząd radykalny pp. Asquith'a i Lloyd George'a może dziś przystąpić obces do zniesienia prawa *veto* Izby lordów, stającej wpoprzek normalnej ewolucji kraju. Mimo niezaprzeczonej maestrji w polityce, torysowie i sprzymierzeni z nimi unioniści nie stawią czoła impetowi reform radykalnych, o ile dywersja natury zewnętrznej nie przyjdzie mu z pomocą. Stanowisko Niemiec może bowiem oddziałać silniej na stan umysłów po drugiej stronie kanału, niż najwytrawniejsza agitacja nacjonalistów; ale właśnie w chwili obecnej Niemcy usiłują wytworzyć w Anglji nastrój *quasi*-pojednawczy, który nie jest na rękę unionistom.

Istotnie. Kanclerz von Bethmann-Hollweg d. 10 grudnia wygłosił wielką przemowę w Sejmie Rzeszy, kładąc nacisk na usposobienie pojednawcze Niemiec wobec Anglji i Rosji.

Zwłaszcza ustęp, dotyczący Rosji, wywarł znaczne bardzo wrażenie, a brzmiał on w sposób następujący: „Niemcy i Rosja obowiązują się nie brać udziału w żadnej akcji zaczepnej, wymierzonej przeciw jednemu z wyżej wymienionych mocarstw".

Skutki wizyty poczdamskiej nie dały zatym długo czekać na siebie; prasa francuska podniosła krzyk alarmu.

„Bylibyśmy chyba ślepi zupełnie — pisze *Rappel* paryski—gdybyśmy nie dostrzegali intencji gabinetu berlińskiego. Zmierza on wyraźnie do przywrócenia dawnego sojuszu trzech Cesarzów Wschodu. Dalecy jesteśmy od przypuszczenia, by Petersburg uległ namowom germańskim. Ale pojmujemy dobrze, że dyplomacja austro-niemiecka chce wskrzesić stan rzeczy z przed roku 1878. Wobec antagonizmu Austrji i Włoch, gdyby Rosja poszła za dawną tradycją i w myśl tych zabiegów—Trójprzymierze istnieć będzie nadal, ale z Petersburgiem zamiast Rzymu".

Radykalna *Lanterne* woła z goryczą: „Zapytujemy p. Pichon'a, co się dzieje z przymierzem rosyjsko-francuskiem i czy poto wywieźliśmy do Petersburga 20 miljardów żeby naszym kosztem zawierano umowę rosyjsko- niemiecką?"

Ten ustęp daje pojęcie o niespokojnym i podejrzliwym nastroju we Francji, mimo uspokajań prasy niemieckiej i dwuznacznych zapewnień dziennika *Nowoje Wremia*, że „nie stało się nic takiego, coby przed miesiącem nie było wiadome". (*sic*)

Faktem jest, że między Niemcami i Rosją stanęła umowa, która z natury rzeczy nie może być mile widziana w Paryżu. To też Paryż ujawnił pewne zniecierpliwienie; wyjaśnienia p. Izwolskiego, który właśnie objął urząd ambasadora w Paryżu, uznano za niewystarczające, wobec czego zawitać ma nad Sekwanę p Sazonow, nowy minister spraw zewnętrznych.

Samorząd ziemski dla Królestwa Polskiego.

II.

W r. 1905 Towarzystwo Higjeniczne Warszawskie wprowadziło na posiedzenia wydziału ludowego dyskusje nad samorządem ziemskim, które trwały trzy miesiące. Sprawa była roztrząsana przez ludzi wybitnych i rzeczoznawców. W rozprawach wzięli udział lekarze, prawnicy, ziemianie, pracownicy na polu wszelkich dziedzin życia społecznego i ekonomicznego. Traktowano tę sprawę nietylko ze stanowiska potrzeb dzisiejszych, ale także z punktu historycznego. D-r Chełchowski, przewodniczący wydziału ludowego, podkreślił wówczas dwa warunki, niezbędne dla pomyślniejszego rozwoju naszego: dobra szkoła i organizacja samorządu. Tło tych dwu kwestji zasadniczych naszkicowano podczas obrad w następującym zarysie: Kiedy w r. 1838 zwijano komisję oświecenia, było w Królestwie Polskim 1,600 szkół, w tej liczbie 1,000 początkowych, a w Rosji 2,000, w tej liczbie 1,600 początkowych. W r. 1906 Królestwo liczyło 3,000 szkół początkowych, a Rosja 90,000. Cyfry są wymowne! Nasze szkolnictwo początkowe, wegetujące, w stanie opłakanym, powinno być jedną z najważniejszych dziedzin pracy przyszłych ziemstw. Królestwo, jak wiadomo, jest podzielone na 10 gubernji, 84 powiaty i 1280 gmin. Tyle jednostek samorządowych pociągnęłoby za sobę olbrzymi koszt; tymczasem koszty administracji nie powinny przekraczać 10 — 15 proc. budżetu. Otóż p. Suligowski proponował, ażeby jednostka gospodarcza ogarniała dwa powiaty, zamiast

zaś gubernjalnych, radził jedno gospodarstwo na cały kraj. Utrzymanie gminy, wolnej od wtrącania się władz administracyjnych, uznano za rzecz nieodzowną; przy czym, zdaniem Wacława Łypacewicza i d-ra Wernica, należałoby wprowadzić djety dla funkcjonarjuszów samorządu, gdyż w przeciwnym razie udział osób niezamożnych byłby odsunięty.

Podczas rozpraw nad cenzusem wyborczym d-r Chełchowski wskazał główne postacie cenzusu: 1) stanowy, 2) majątkowy, 3) wyznaniowy i 4) intelektualny. Pozatym może być głosowanie powszechne. Prócz tego, zrodziło się pytanie, czy wybory do wszystkich instytucji samorządowych mają się odbywać przez głosowanie bezpośrednie, czy też do instytucji niższych, a te samodzielnie wyłonią instytucje wyższe. P. Łypacewicz wskazywał całkiem słusznie, że wszelkie cenzusy są zasadą wsteczną; stanów, ani instytucji stanowych u nas niema w rodzaju marszałków szlachty, jak w Rosji. Jedynie zakaz sprzedawania gruntów, nadanych osobom pochodzenia włościańskiego, nosi charakter stanowy. „Trzeba z całą energją zwalczać myśl wprowadzenia kurji i cenzusu wyznaniowego, która znajduje zwolenników pomiędzy zaproszonymi przez generał-gubernatora delegatami, przeważnie ze stronnictwa ugodowego, śród pewnego odłamu stronnictw narodowo-demokratycznych (sprawa udziału żydów). Wszelkie ograniczenia w prawie wyborczym są niemoralne i szkodliwe". „Rada gminna powinna istnieć jako instytucja projektodawcza. Projekty zatwierdza zebranie gminne". (Według streszczenia d-ra Wernica w *Ogniwie*).

Rezultatem długich narad w Towarzystwie Higjenicznym było sformułowanie wniosków w punktach następujących: 1) Konieczne jest wprowadzenie samorządu ziemskiego bez ograniczeń, opartego na wyborach, z naradami i funkcjonowaniem w języku polskim, 2) Przy wprowadzeniu samorządu do Królestwa należy się liczyć z warunkami miejscowymi i opinją, wypowiedzianą przez społeczeństwo. 3) Jednostka samorządna gminy wszechstanowej powinna być utrzymana ze zmianami następującymi: *a)* zachować przepisy prawa z r. 1863, *b)* usunąć nadzór administracji, hamujący rozwój gminy, *c)* zmienić system podatkowy, *d)* dopuścić inteligencję bezrolną do udziału w samorządzie gminnym, *e)* uzupełnić zebrania gminne przez wybór radnych, obok zarządu gminnego, wybranych przez zebranie ogólne, 4) Celem zapewnienia jednolitego, ciągłego i uplanowanego działania jednostek samorządnych, a zazazem dla oszczędności w wydatkach przy ich funkcjonowaniu, należy powołać do życia centralną jednostkę samorządną, którąby miała charakter zwierzchniczy nad niższymi jednostkami samorządnymi oraz miała władzę wydawania przepisów i rozporządzeń, 5) Wobec niedużych powiatów i gubernji Królestwa Polskiego, możliwym jest czasowe ograniczenie ilości samorządów powiatowych (na 2—3 powiaty jedna instytucja) i zamiast gubernjalnych — stworzenie jednego ogólno-krajowego. 6) Pożądane jest powszechne tajne głosowanie, bez żadnego cenzusu. 7) Należy rozszerzyć prawa inicjatywy samorządu w sprawach pilnych a u nas odłogiem leżących: *a)* szkolnictwa elementarnego i zawodowego, *b)* dróg, *c)* ubezpieczeń od ognia, *d)* straży ogniowych, *e)* wychodźctwa, *f)* policji wiejskiej, *g)* pośrednictwa pracy, *h)* komasacji gruntów, *i)* objęcia instytucji kuratorjów trzeźwości. 8) Uwolnić samorząd od wpływów administracji, 9) Konieczne jest zachowanie najliczniejszych punktów zetknięcia między samorządem miejskim a ziemskim dla rozstrzygania spraw wspólnych. 10) Pod względem lekarsko-sanitarnym pożądane są: dozór nad sprawą szkolną, zapobieganie chorobom zakaźnym, szczepienie etc.

Osobno sprawę samorządu rozważali rolnicy w swojej jedynej wówczas instytucji o charakterze społecznym: w sekcji rolnej, oczywiście ze stanowiska potrzeb rolnictwa. Królestwo liczy niemal 700,000 posiadaczy ziemskich. Tymczasem wszystkie nawet dzisiejsze stowarzyszenia rolnicze, z organem centralnym i z kółkami włościańskimi, nie liczą więcej niż 9,000 członków, a więc w zrzeszeniach bierze udział zaledwie 2 proc. ludności rolniczej. Poza ich obrębem stoją olbrzymie rzesze posiadaczy drobnej własności ziemskiej. To też słuszne były uwagi wybitnych ziemian podczas obrad nad samorządem, że towarzystwa rolnicze nie mogą reprezentować interesów całej ludności rolnej. W zakresie pracy pedagogiczno-dydaktycznej i technicznej towarzystwa rolnicze również nie są zdolne do podjęcia szerszej akcji, jako instytucje nazbyt ubogie.

Luki te wypełnić musi samorząd, którego główną podstawą będzie właśnie rolnictwo. Zważmy tylko, jaki jest szeroki zakres działalności na tym polu sformułowany podczas obrad rolników: W zakres kompetencji urządzeń ziemskich wchodzą: zabiegi o usunięcie braków żywności; zajęcie się losem ludności, szukającej zarobków zagranicą; utrzymanie w należytym stanie dróg (pozostających w zawiadywaniu ziemstw) i urządzeń drogowych; tratew holowniczych; urządzanie i utrzymywanie przystani poza granicami miast i staranie o poprawę miejscowych środków komunikacji; zarządzanie wzajemnym ubezpieczeniem ziemskim. Spółdziałanie w organizacji ubezpieczeń na wypadek kalectwa i starości. Udział w środkach, mających na celu zabezpieczenie zdrowia publicznego, zapobieganie i przeciwdziałanie zarazom śród inwentarza, organizacja pomocy weterynaryjnej. Zabiegi przeciw pożarom i starania o lepsze zabudowanie wiosek. Spółdziałanie w organizacji instytucji kredytowych, w znoszeniu szachownic, starania o ochronę pól, łąk i lasów od szkód i niszczenia, wyrządzanych przez ludzi, zwierzęta, owady szkodliwe, pasorzyty i chwasty.

Ważną rolę ziemstwa odegrać mogą przy organizacji szkół rolniczych wszelkich szczebli i wszelkich typów.

Unormowanie właściwe kontroli, spełnianej przez władze administracyjne nad pracami organizacji samorządnych, jest warunkiem pierwszorzędnym nietylko w stosunkach gminnych, ale także w działalności innych, wyższych ogniw samorządu.

Jak widzimy, w roku nadziei i złudzeń byliśmy bardzo żywo poruszeni sprawą samorządu ziemskiego i daliśmy dowody, że nasze społeczeństwo nietylko „dojrzało" do przyjęcia tej formy gospodarki, ale nadto, umie o wiele lepiej się orjentować w potrzebach kraju i ludności, niż ofiarodawcza frakcja październikowców.

Zenon Pietkiewicz.

LITERATURA i SZTUKA.

6)

Syn Marnotrawny.

(fragment groteskowy).

Śniło się Synowi Marnotrawnemu, że spoczywał w fotelu. Paliła się jedna osłonięta lampa. W różowym półmroku leżała królowa na łożu, z głową pochyloną, z rękami splecionymi na włosach. Otworzyła oczy, rzekła mu: „Jolanta czeka na ciebie"... Zaczął ją prosić, a potem szarpał z gniewu i bił, by rzekła, gdzie czeka na niego Jolanta. Lecz królowa leżała z zaciśniętymi ustami, głucha i martwa na wszystko... Wydało mu się, że jest jakby daleka i nieobecna, choć czuł pod rękami jej ciepłe ciało. Nagle ujrzał ręce kobiece, nagie, srebrzyste i lekkie. Kąpały się w różowym świetle. Kilka razy wznosiły się ku niemu te ręce i jakby wołały go z uniesieniem. Lecz on cze-

kał. Wtedy ręce znikły i na tle szaro srebrzystym ukazała się plama ciemno-niebieska, tak pięknego i mocnego koloru, że rozradowało się jego serce i uczuł ufność. Wstał i wyszedł. Wśród ciemności lał deszcz. Nieznana, czarna i pusta ulica. Siadł do pojazdu, rącze konie porwały. (Królowa znikła już przedtem, nie wywołując zdziwienia). W ponury rozświt, gdy z ołowiano-sinych poszarpanych chmur strzeliło słońce, jak wielki słonecznik, ujrzał ogromną szarą równinę. Wielki, niemy dwór stał na tem pustkowiu. Żałosne wiatry przelatywały, jakby nie zatrzymując się i dążąc dalej. Wszedł. Mnóstwo staroświeckich mebli, poczerniałych obrazów, lamp, zegarów, poważnych jak sądziwi zakonnicy, a wśród tego urządzenia, gdzie przepych łączył się z zapachem i stylem ubiegłych stuleci, zastał grono osób, postrojonych kobiet i mężczyzn. Wszyscy czekali jakby na kogoś wyższego od siebie. Pojął, że to na Jolantę czekają. Serce biło mu gwałtownie. Chciał spotkać ją samotnie. Ukrył się za drzwiami. Serce waliło jak młot. Słychać je było w całym domu. Drzewa za oknem pochyliły się i słuchały. Pokój napełnił się srebrzystą światłością— weszła Jolanta. Dwoje dzieci bawiło się na posadzce. Podniosła je po kolei i ucałowała z anielskim uśmiechem. A kiedy odeszła i znikła za drzwiami, serce jego olśnione upadło w zwątpienie. Szukał jej, przebiegał z tęsknotą głuchy rząd jasno oświetlonych, pustych komnat. Dopiero w ostatnim pokoju siedzieli mężczyźni. Grali w karty i pili wino. Siadł do gry z nimi. Na stole lśniły stosy złota, a on myślał: niema Jolanty... Potym wszyscy wyszli na dwór... Był zachód... Płaszczyzna szara, szare niebo. Ogromna pustka, jak bezdenne oczekiwanie. Po drugiej stronie — wielki ogród, nizkie drzewa, długa aleja, lśniąca jaskrwawym światłem. Mężczyźni siedli na ławce i rozmawiali z nim... Nagle uczuł, że knują wrogi zamysł przeciwko niemu. Błysnęli nań raz i drugi zimnymi oczyma. Jeden z nich chwycił go za gardło i obalił. Krzyczał, a oni poczęli uciekać długą aleją, obracając się do niego i śmiejąc ohydnie. Został w głuchej pustce. Milczenie i samotność otoczyły go i patrzyły lśniącymi oczyma. Nagle na drzewach, niz kich jak wierzby, ukazały się ogromne ptaki na gniazdach. Poruszały się, odymały, krakały. . Zwracały ku niemu otwarte dzioby i mówiły coś, czego zrozumieć nie mógł. Pojął jednak, że te ptaki nie zrobią mu nic złego. Zmierzał ku gąszczowi ogrodu, który stał i czekał. Wtem gwałt za nim dziki, pisk, wycie .. Gromada małpoludów, szeroka jak widnokrąg biegła ku niemu z zaciekłem ujadaniem. Jeżeli dopadnie do tamtego ogrodu, tam wybawienie — tam jest Jolanta. Potknął się i padając ciężko, z czaszką rozbić się gotową o głaz, obudził się w gwałtownym wstrząśnieniu.

* * *

— Co tam sapie za kratami? O nieba, czyżbym się mylił? Ależ tak: skrobanie pilnika po żelazie... Jak długo to trwa! Ręka nieznanej istoty piłuje mi kości. Ból i radość przeraźliwa... nadzieja... Nareszcie ktoś wtyka głowę! Na piekło! Ależ to Gardzipluj.

— Mój synu — rzekł Gardzipluj — ani chwili do stracenia! Uciekaj po drabinie sznurowej... Masz tu pieniądze, broń palną, sztylet (ostrożnie z nim—zatruty!) Zejdę na dół — ty za mną. Łódź i przewoźnik czekają...

... Poczciwy wartownik dał się przekupić—szeptał opat, gdy obaj przekradali się gęstem ogrodem. — Sprzykrzyło mu się pilnować cudzego wroga. Przeżyje resztę życia w dalekim miejscu bezpiecznym, jeżeli się nie da złapać. Co do mnie, to bronią mnie przed podejrzeniem mój wiek, powaga i otyłość

Syn Marnotrawny wyzwolony z niebezpieczeństwa długiego więzienia lub śmierci, uczuł, że wypełzają z zakamarków jego nałogi, które pokryły się w gąszczu ducha, jak ptaki przed burzą. Postać Gardzipluja z wielkim brzuchem i twarzą lśniącą od potu, a targaną nerwowym niepokojem, wydała mu się zabawną. Omal że nie powiedział: — Mój ojcze, wie wiedziałem, że zdolny jesteś do sztuk akrobatycznych. — Zamiast czuć wdzięczność, gotów był śmiać się głośno ze swego wybawcy.

— Synu mój — rzekł Gardzipluj — zdaje mi się, że mniej czujesz radości, niż przypuszczałem... Takaż to twoja wdzięczność!

— Przebacz mi, ojcze! Darować sobie nie mogę, że w więzieniu doznawałem halucynacji dziecinnych, upadłem duchem i zwątpiłem... Czyż nie powinienem był raczej wierzyć niezłomnie, że nie czas mi jeszcze być zwyciężonym, że Syn Marnotrawny nie zginie od gniewu kobiety. Pojmujesz ojcze, że grzmi mi życie jako możliwość błędów, krzywd, bezmyślności. Zbyt poważna to chwila, abym czuł wdzięczność tylko. Opuścić mam oto księżniczkę, a czy znajdę drugą taką kiedykolwiek? Trudno mi będzie żyć wspomnieniami tylko tych godzin, kiedy me oczy ją oglądały. Prócz tego szatan mój mi szepcze: „Ułożyłeś sobie doskonałą mowę przedśmiertną... napróżno. Tyle zapału i uniesienia przedpogrzebowego na nic!" I wstyd mnie pali, żem nie został zgarotowany. Zanieś ojcze Jolancie pożegnanie odemnie. Powiedz jej: „Żegnał cię z sercem pełnym żałości, lecz i cichej nadziei. Powiedz jej, że największem upragnieniem Syna Marnotrawnego, wyzwolonego tymczasowo od goryczy niewoli i Śmierci, jest: mieć ją w objęciach.

Leon Choromański.

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Wacław Sieroszewski: **Bajki**, z 50 rycinami, Kraków, spółka nakładowa „Książka".

W wielkim państwie poezji i literatury zacierają się zwolna wszelkie granice i przedziały, wszelkie okopy i szańce, którymi odgrodzić usiłowano narodowości, wyznania, poglądy, którymi wyodrębnić chciano wiek, płeć, wykształcenie.

T. zw. literatura ludowa, w ścisłym znaczeniu, skazana jest na zagładę. Chłop okazał się wybredniejszy w smaku od mistrzującej mu inteligencji. Sięga on dzisiaj do powszechnej skarbnicy arcydzieł literackich, z pogardą odtrącając przyrządzaną dlań naiwnie moralizatorską papkę. Skwapliwie czytać będzie Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Konopnicką, Dygasińskiego, ale nie poniży się do tego stopnia, by brać w rękę powieści Krzyżanowskiego, lub consortium. Podobnież zanika specjalna literatura dziecięca. Nie wszystkie oczywiście utwory beletrystyczne mogą być dostępne i właściwe dla wieku dziecięcego, natomiast słuszną jest zasada, że każda prawdziwie cenna rzecz dla dzieci z zadowoleniem przeczytana będzie przez starszych. Ileż głębokiej rozkoszy artystycznej, ile przenikliwych prawd psychologicznych znajdą inteligentni dojrzali czytelnicy w obcowaniu z utworami Korczaka lub Konopnickiej, które tak żywą zarazem sprawiają uciechę naszej dziatwie.

Obecnie, na choince dziecięcej, zawiesił szereg przecudnych gwiazd swego talentu — Wacław Sieroszewski. Królewską prawdziwie powodowany szczodrobliwością, wlał on w swe „Bajki" całe czarodziejstwo barw, świateł i tonów, całe bogactwo wyobraźni, na której paletę zbierał farby i blaski z oceanów, lądów i mórz całego świata. Świetliste są one i grające od zórz polarnych, świeże świeżością poranków, wsta-

jących z pościeli śniegów, wesołe weselem jaskółek obryzgujących piersi białą srebrną pianą. Kipi w nich nadmiar młodego życia; żywioł fantazji rodzi się z przelewu sił, sięgających poza kres widomej rzeczywistości; świat, odbity w oczach pustoty dziecięcej, nęci ku sobie obietnicą przygód malowniczych; pierś ludzka w ich świetle staje się przezroczysta: widać w niej serce, bijące zachwytem i nadzieją, ufnością i pogodą.

Takim też jest serce pisarza—poety: zstępując na dno niedoli ludzkiej, zgłębiając otchłań cierpienia, zalewało się łzami i poprzez jęki bólu miotało przekleństwa przeciwko sprawcom zła i krzywdy; ale niechaj kołem rzeźkim otoczą je młodzi, niech je obejmie śmiech i wiara dziatwy, wnet rozpogadza się to serce stroskane, ciężarne smutkiem świata, wnet zapomina skarg żalów i zawodów, rzewna słoneczna pieśń wtenczas wybiega mu na usta i po nad jasne główki młodociane skupionej wokół niego wiary, leci jak złota strzała, ku dalekim brzegom, za siedmią gór, za siedmią mórz, — w szczęśliwą krainę Bajki.

J. Tarczewski.

Gabrjela Zapolska: **Śmierć Felicjana Dulskiego,** opowiadanie.

Henryk Hejne opowiadał o sobie, iż żywił się głupcami: zjadał po dwu głupców dziennie. Potrzebni mu oni byli do życia i do zdrowia: witał ich życzliwie, spotykał bez gniewu; wdzięczen był im nawet za to, że istnieją, dając bezbronny rozkoszny karm jego satyrze.

Za dni naszych taką jadowitą drapieżną miłością ukochała cały gatunek filistrów — Zapolska. Stworzyła rodzinę Dulskich. Wzięła ją pod szkło obserwacji, pod kosztowny mikroskop intuicji, jak rzadką rodzinę insektów. Prześwietliła jej tajemne ścieżki, kręte chody, jęła podpatrywać ich sprawy i dzieje od pierwszych chwil ich życia; zbadała jak się rozmnażają, jak rosną, w jakiej temperaturze dojrzewają w jakiej giną... Zajrzała w jaskinie ich rozkoszy, pragnień, nienawiści... „Ahaswer", „Panna Maliczewska", „Ich czworo". Moralność pani Dulskiej", „Dulska przed sądem", oto są ogniwa wielkiej epopei nędzy i śmieszności, zwyrodnienia i upadku. Ponad nimi roztacza Zapolska złowieszczą ognistą łunę sądu ostatecznego, na który wzywa znikczemniałe w bezmyślności pokolenia głosem prawdy i powagi życia. Ostatnie utwory Zapolskiej nie wyłączając „Smierci Felicjana Dulskiego" prażą ogół polski chmurami pocisków, palących jak ogień twardych jak żelazo. Owe szeregi kawiarnianych i tinglowych „przyjemniaczków", owe córki wdowie. panny rosłe, nie ładne i nie brzydkie, — z dobrym biustem, wyściskane w pasie, biegające ciągle od fortepjanu do okna, patrzeć czy nie idzie jaki zajmujący „osobnik"; owe mamy świątobliwe, naczynia wyuzdanej przewrotności — defilują przed nami jako potworne obelgi przeciwko cywilizacji, przeciwko duchowi dążenia, przeciwko potokowi uczuć i myśli.

Życie w atmosferze takiej staje się karykaturą; każdy czyn, każdy gest w krzywym zwierciadle szyderstwa zamienia się w potworność.

Lecz czym staje się w podobnym środowisku śmierć? — Oto zagadnienie, które podjęła autorka w swym utworze ostatnim. Na zgiełk uczuć małostkowych, na ciżbę wstrętnych zabiegów pada nagle wielki majestat ciszy, bezpowrotności i zgrozy. Smierć w domu. Felicjan Dulski kona.

Dulska potrząsa stygnącą ręką umierającego.

— Felicjan! oszalałeś? co robisz? ta, jak to...

Nagle, zrozumiawszy, imperatywnym gestem odsyła kucharkę, lamentującą nad trupem, do kuchni do sznycli:

— Proszę chwilę zaczekać z obiadem! Jan (lokaj) niech idzie do magistratu, jak miał iść...

I gdy ci dwoje cofają się ku drzwiom, ona, już doskonała komedjantka, wytresowana i subtelna, pochyla się nad milczącymi zwłokami.

— Co? księdza chcesz? ależ dobrze, dobrze, skoro taka twoja wola — będzie spełniona..

W pięć minut później tragiczny dzwonek słychać wzdłuż murów... Ksiądz wchodzi do sypialni i każe usunąć zemdloną Melę (córkę zmarłego) która wciąż leży na podłodze — bez szlochu i bez jęku. Gdy ksiądz wyszedł — Dulska krzepi się i odrazu wchodzi w rolę „wdowy" — która teraz tylko na siebie liczyć powinna. Krótkim urywanym głosem wydaje rozporządzenia.

— Sprzątnąć stolik po księdzu, stróż niech idzie do pana Zbyszka — Kasia niech wyjmie panowe ubranie czarne z szafy — Ze sznyclami trza jeszcze poczekać — Pana się pierwej ubierze, bo później zastygnie— Potym będzie się jadło...

... Oto na czarnym, kirowym majestacie żałoby siadł insekt filisterji, gad pospolitości objął ją w posiadanie — i zwolna głęboka *tragedja śmierci* zmieniać się poczęła w płaską *krotochwilę życia...*

J. T.

NA DOBIE.

Na Gwiazdkę.

Wszystkie pobożne organy twierdzą, że tworzymy tu, na środkowym wschodzie Europy, jakąś błogosławioną oazę, chlubnie odbijającą zbożnym duchem od jałowej bezbożności zgniłego Zachodu.

Tak mało mamy wogóle przewag do zanotowania na naszą korzyść, że ludzie naiwni, wślad za filutami w sutannach, poczynają zezem spoglądać na Zachód, plotąc duchy smalone o królestwie ducha na ziemiach słowiańskich.

Ktokolwiek zada sobie trud sumiennej i trzeźwej oceny korzyści oraz dobrodziejstw, płynących z niepraktykowanej nigdzie przewagi pierwiastków religijnych nad kulturą świecką — temu twarz się wydłuży i opadną ręce...

Stary Knobelsdorf, polując na lisy w pobliżu napół rozwalonej cerkwi w Rożyszczu, winien się był spodziewać, że z kolei zapolują nań, jak na grubego zwierza, doświadczeni łowcy dusz.. Dzięki swej nierozwadze, dostał oto „na gwiazdkę" 8 lat ciężkich robót; prezent o jakim dawno stracono pojęcie w bezbożnej Europie...

Ale niejednemu z nas otworzyły się oczy. Prozelityzm religijny, na tle współzawodnictwa dwóch Kościołów, kryje w sobie taki bezmiar dzikości, wobec którego harce zajadłych nacjonalistów są niewinną igraszką. Z różnych ośrodków wiary dochodzą też do nas wilcze poryki, przy których polemika *Nowego Wremieni* brzmi, jak szczebiot dziecięcy.

Rzecznicy etyki religijnej będą się na to gniewnie zżymać; cóż, gdy zamiast być ukojeniem serc, religja służy tu celom zaborczym i zajadliwym szykanom. A na to zdawkowa pobożność radzi zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że dzieje się naodwrót.

Trójlistek (II).

Organ chełmskiego seminarjum strofuje zbytnią łagodność i objektywizm strażników policyjnych w zatargach ludności prawosławnej z katolicką „opresją"; odtąd każe *Cholmskij Listok* na wszelkie „gwałty" ze strony katolików wnosić skargi bezpośrednio na ręce duchowieństwa.

Mniej opieszałe od policji, zrobi z nich ono odpowiedni użytek.

Gdy tak moralność wyznaniowa kwitnie na ziemi chełmskiej, pojedyncze jej kwiatki uszczknąć można niekiedy z wieńca warszawskich wiadomości bieżących.

Niedawno zmarła śmiercią samobójczą 17-letnia Stefania Kozbielska: przy niej znaleziono kartkę, na której skreśliła stygnącą widocznie ręką: „*Ja jestem marjawitka, a rodzice...*"

Rodzice snadź byli do tego stopnia przejęci etyką religijną, że nie zostało już miejsca na moralność świecką.

W imieniu tej ostatniej wystąpić musiała policja i ojcu wytoczono sprawę o znęcanie się nad córką i doprowadzezie jej do samobójstwa.

Ale Opatrzność czuwa: świadkowie zeznali pod przysięgą, że nieboszczka „była nader skłonna do kłótni i wymysłów ojcu i matce, wobec czego ojciec zmuszonym był karać ją"; wówczas przewrotna Stefania przeszła na marjawityzm i „od tego czasu repertuar jej wymysłów wzbogacił się jeszcze wymysłami pod adresem kościoła katolickiego i katolików"; oczywiście biedny ojciec zmuszony był podwoić siłę i liczbę uderzeń; wszystko napróżno: wyrodna córa, powodowana złośliwą intencją dokuczenia ojcu, pozbawiła się życia.

Sąd uniewinnił ojca; gdyby nieboszczka żyła, nie minęła by jej zapewne surowa nagana, a może areszt lub grzywny.

Etyka religijna inne jeszcze przybiera kształty.

Chełmska żydówka Surla S., pałając miłością do chrześcianina, zamierzyła przejść na katolicyzm, aby połączyć się z ukochanym węzłem małżeńskim. Etyka religijna chasydów chełmskich zawyła na to tak groźnie, że zakochana żydówka pośpieszyła schronić się do Chyliczek, pod Warszawą, gdzie przyjęła chrzest.

Ale pobożni chasydzi chełmscy nie dali za wygraną. Podszczuli tedy jakiegoś wuja neofitki, by poszedł do policji i oskarżył własną siostrzenicę o kradzież. Takie podstępy w życiu świeckim nie uchodzą, ale w etyce religijnej mile są widziane, Choć spełzły one na niczem, jednak neofitka wzięła to wszystko tak bardzo do serca, że ciężko zapadła na zdrowiu.

Skądinąd przekonaliśmy się dostatecznie, że *fałszywy donos* bywa często nieoczekiwaną formą etyki religijnej i to nietylko w Chełmie, ale i we Włocławku, w Warszawie, Częstochowie...

Życie nasze obfituje w te swoiste bardzo epizody, które mocno podkreślają odrębność naszą od reszty cywilizowanego świata, bo tam to wszystko należy już do przeszłości.

Że jednak zachowaliśmy szczęśliwie nienaruszony ośrodek wiary pośród ogólnej anarchji i upadku — przeto wdzięczna Opatrzność nagradza nas na gwiazdkę świeżym *trójlistkiem* z ogrójca cnót wyznaniowych.

Rozbrojenie oszczerców.

Zmarły w 1907 r. redaktor *Kurjera Porannego*, Feliks Fryze był wielkim miłośnikiem pożarnictwa. Odczuwał on zwłaszcza gorąco ciężką dolę strażaków, którzy poniósłszy kalectwo podczas pożaru, jako niezdolni do dalszej służby inwalidzi, zostawali bez środków do życia. Wynajdywał dla nich sposoby zarobkowania, dla ich wdów i sierot zbierał jednorazowe, nieraz dość znaczne, zapomogi i zdołał wreszcie, korzystając z jubileuszu straży ogniowej w Warszawie w 1885 r. zebrać z górą sześć tysięcy rubli na Kasę zapomogową dla poszwankowanych przy pożarze strażaków. Uważając jednak sumę powyższą za niedostateczną, usiłował powiększyć ją przez dobre oprocentowanie i rozpoczął starania o uzyskanie ustawy, którąby zapewniła należyty udział w zarządzie Kasy żywiołom obywatelskim.

Ustawy takiej jednak z przyczyn od woli jego niezależnych, nie uzyskał; lokata zaś hypoteczna zamiast wysokich procentów naraziła go na wiele kłopotów. Pomimo to jednak suma pierwotna wzrosła do 14,453 rb. 50 kop. w d. 10 marca 1910 r. Świeżo zaś ogłoszony wyrok w tej sprawie Sądu arbitrów przy Tow. Kultury Polskiej wykazał, że gdyby zmarły Feliks Fryze umieścił był kapitał zebrany w sposób ogólnie przyjęty na procent, składany w poważnej instytucji kredytowej, to fundusz strażacki nietylko by na tym nie zyskał, ale przeciwnie, byłby dziś mniejszy, niż jest, przeszło o tysiąc rubli.

W trzy tygodnie po śmierci Feliksa Fryzego, bratanek zmarłego, Feliks Ludwik Fryze złożył z górą dwa tysiące rubli, znajdujące się na rachunku bieżącym w *Kurjerze Porannym* do Tow. Wzajemnego Kredytu i wezwał instytucję przez inicjatora Kasy wskazaną, a mianowicie Warsz. Tow. Ubezpieczeń od ognia o dokonanie obrachunku, przejęcie funduszu strażackiego i zajęcie się utworzeniem Kasy.

Ludzie, mający różne rozrachunki prywatne z *Kurjerem Porannym*, nie przebierając w środkach, otoczyli tę sprawę szlachetnej inicjatywy i dobrej woli, taką siecią insynuacji plotek i potwarzy, jaką można znaleźć tylko chyba w prasie ultra-klerykalnej; skłonili oni p. L. Belmonta do wyszczególnienia wszystkich potwarzy i plotek w *Wolnem Słowie*.

P. Belmont, który, jak zaznaczyła przed półrokiem *Prawda*, ma talent połykania co numer przynajmniej jednego żywego człowieka, nie mógł oprzeć się pokusie pokazania publiczności, jak się połyka razem jednego żywego i jednego umarłego...

Daleko gorszym było wystąpienie w tej sprawie Towarzystwa literatów i dziennikarzy. Wice prezes towarzystwa na posiedzeniu publicznym, pozwolił sobie, według sprawozdania *Kurjera Warszawskiego*, na z gruntu nieprawdziwe twierdzenie, że towarzystwo „zmusiło wydawcę *Kurjera Porannego*, aby zwrócił bezprawnie przetrzymywane fundusze publiczne i za to mści się p. Fryze"..„mści się na nas za postulaty moralne, które członkom swoim stawiamy"... Obecni na posiedzeniu przedstawicie pism i kierunków, którym *Kurjer Poranny* dał się we znaki jako przeciwnik polityczny, oklaskami i przemówieniami, wystąpienie wice prezesa Towarzystwa zaakceptowali.

Rozumiemy dobrze, że pp. Straszewicz i Konic mogli nie być zadowoleni z feljetonów *Kurjera Porannego*, poświęconych koncentracyjnym i neosłowiańskim igraszkom, że pp. Kosiakiewicz i Miecznik nie solidaryzują się z poglądami *Kurjera Porannego* na klerykalizm, że p. G. Kempner może nie kochać p. Fryzego, lecz spodziewamy się, że jeżeli rzeczywiście chcą stać „na strażnicy kultury moralnej",—po wyjaśnieniu sprawy i ustaleniu faktów przez sąd arbitrów Tow. Kultury Polskiej z równą skwapliwością odwołają zarzuty, z jaką pośpiesznie z nimi się zsolidaryzowali.

Księża, jako zawodowcy.

Miesiące ostatnie są świadkami niebywałej degradacji opinji duchowieństwa w oczach całego narodu. Jeszcze przed paru laty obozy wsteczne pokładały głębokie zaufanie w potędze i wpływach kleru. Narodowa Demokracja chętnie przypisywała mu rolę opatrznościowego cementu w spajaniu klas społecznych: dla zdwojenia swej powagi agitator endecki w roku 1905 szedł do ludu w towarzystwie księdza proboszcza. Jakże ogromną zmianę przyniosło nam ostatnie 5-cio lecie Dziś, chcąc pozyskać wiarę i przekonanie ludu, trzeba się wyrzec opieki kropidła; nie skutkują więcej bałamutne frazesy! Nawet żywioły, związane węzłem tajemnej sympatji z klerem, nie mają odwagi przyznać się do niej otwarcie. Nawet ci, którzy łącznie z księżmi pragną robić kosztem ludu roboczego interesa, manifestacyjnie wypierają się klerykalizmu. Dowodem hasło, pod jakim stanęła *Zorza*, organ polityki endeckiej śród ludu wiejskiego:

„Naród sobie! — czytamy na czele prospektu —

naród, to znaczy: my wszyscy: chłopi, mieszczanie, robotnicy, uczeni, *księża i inni zawodowcy...*"

Kler, jak widzimy, na szarym końcu wymieniony, spadł nagle z wyżyn misji opatrznościowej do poziomu zwykłego — zawodu. Jeszcze jeden krok — a zawód rybaków duchownych przyrównany zostanie do procederu pospolitego pasorzytnictwa!

Dziesięciolecie „Książki".

Na ostatnim roczniku zamyka wydawnictwo *Książki* dziesięciolecie swego istnienia. Wobec kruchości podstaw wydawniczych, które u nas opierają się zawyczaj nie o potrzeby umysłowe w szerokim ogóle, ale o interes lub dobrą wolę jednostki, — dziesiątek lat stanowi już okres poważny. Wystarcza on dla wytworzenia poczucia niezbędności pewnej gałęzi zainteresowań kulturalnych, którą organ nowy zaszczepił i rozwinął na dotychczasowym pniu zadań oświatowych.

Dzisiaj bez *Książki*, bez miesięcznika poświęconego krytyce i ogarniającego całokształt bieżącej bibljografji polskiej, byłoby trudno nam się obyć: trudność zaś owa najlepszym jest świadectwem jej zasług i wartosci. Żywotności swej i powadze funkcji, które pełni, zawdzięcza trwałość zdobytego stanowiska. Doświadczenie historyczne wydawców polskich utrzymuje, iż jedynym czynnikiem, na który można z góry i nieomylnie liczyć, podejmując redagowanie miesięcznika, jest apatja ogółu. *Książka* stała się pierwszą próbą pomyślną, która to fatalne uprzedzenie zwycięsko przełamała. Rzecz prosta, że nie obyło się tu bez doraźnych ofiar. Tryumf kultury Europejskiej *Książka* zmuszona była okupić dość kosztownym ustępstwem na rzecz rodzimej barbarji. Co gorsza, ustępstwo to, zrozumiałe, jako chwila początkowej słabości, miast zniknąć, natychmiast po ustaleniu się pisma, powoli przeszło w stan chronicznego niedomagania organu, odbijając się bardzo ujemnie na jednolitości jego systemu i szczerości oblicza.

Do pisma, reprezentującego myśl krytyczną, zwróconą ostrzem przeciwko wszelkim płodom ducha ludzkiego, nie wyłączając samej siebie, a więc uosabiającego niejako sumienność badań i czujność próbierczą, wprowadzono na czele dział myślowego kuglarstwa, przedrzeźniający naukę i zawierający urągowisko z jej metod, — dział będący brutalnym zaprzeczeniem krytyki i szczerości w sądach. Mówimy o scholastycznych wypracowaniach ks. ks. Syskich i Szkopowskich, którzy w piśmie, zasadzającym wartość swą na nieograniczonej wolności przekonań, pod grozą krzywoprzysięstwa. muszą hołdować zasadzie, mieniącej wolność badania — „podstawowym błędem naszych czasów". Jakkolwiek śmiesznym wyda się takie zestawienie pojęć, stwierdzić musimy, że *Książka*, mająca z natury swej służyć ogólnoludzkim orjentacjom, dotychczas nie wykluła się jeszcze z łupiny wyznaniowej. Stąd rodzi się zasadnicza jej obłudna dwulicowość. W jednej rubryce zgłębia się krytycyzm Kanta, myśli się według kategorji logicznych, operuje się faktami sprawdzalnymi, w drugiej zaś gloryfikuje się przesądy, odwołuje się do urojeń. Z jednej strony księga przyrody, z drugiej księga pisma św. dostarcza argumentów różnym działom *Książki*. Tylko tchórzliwa chęć osłaniania kompromisowego fałszu względami ideowości, mogła podsunąć wydawcom i kierownikom *Książki* niezręczną myśl utożsamienia dwulicowości kierunku z wszechstronnością oświetlenia krytycznego przedmiotów.

Przeniósłszy podobny punkt widzenia do dziedzin specjalnych, musielibyśmy od lekarzy, w imię bezstronności zażądać uwzględnienia znachorstwa, a „senniki egipskie" wcielić do wykładu psychologji.

Najbujniej, najszerzej rozwinięta wszechstronność i badanie opiera się zawsze na wspólności zasad i kryterjów, na możności sprowadzenia metod badawczych do wspólnego mianownika powszechnie obowiązującej logiki. Ci, którzy poszukują prawdy dla niej samej, porozumieją się między sobą zawsze, bez względu na różność dróg, które obrali, ale nigdy nie porozumieją się z tymi, którzy chcą prawdę posiąść w tym celu, aby z niej ciągnąć rentę. *Książka* winna to sobie jasno uprzytomnić w chwili sumowania swych dotychczasowych planów. Dziesięć lat trwania stwarza nie tylko zasługi, ale i rodzi obowiązki, upoważniając ogół do stawiania wyższych żądań, rokując nadzieje owocniejszej pracy. Sądzimy, że okres dziesięcioletni w życiu pisma dość jest długi, aby zawrzeć dobę niemowlęctwa; sądzimy też, iż *Książka*, opuszczając ów okres, strąci serwitut wyznaniowy, zedrze z oczu swych bielmo przesądów i uzgodni nareszcie drogi swych metod z istotą swego zadania, kształtując w ogniu badań niezależnych typ myślenia — jednolity.

Gniazda hańby.

Możnaby pomyśleć, że arystokracja i kler współzawodniczą ze sobą na polu zwyrodnienia społecznego i moralnej ohydy. Od szeregu miesięcy każdy niemal tydzień przynosi rzeczy potworne, wyrzucając na brzeg opinji powszechnej krwawe zbrodnie, olbrzymie sprzeniewierstwa, zgniliznę, nierząd, świętokractwo, grabież. Zaledwie nieco odsunął się z przed oczu publicznych upiór strasznej sprawy hrabiego Ronikiera, gdy z wyżyn Jasnej Góry buchnęła na kraj cały okropna powódź publicznego zgorszenia i deprawacji. A gdy naród jeszcze nie ochłonął z goryczy i oburzenia, czując bezmiar krzywdy swej i zgrozę przestępstwa, — arystokracja nagle dystansuje kler w turnieju hańby: Rydzyna — wyrównywa znów szalę potępienia, które wskutek Jasnej Góry przechyliło się tak stanowczo na stronę duchowieństwa! My, postępowcy i wolnomyśliciele nigdy wprawdzie nie mieliśmy błogich złudzeń co do wartości istotnej obu tych gałęzi historycznych, żyjących kosztem najżywotniejszych soków pnia społecznego. Ale to, do czego przywykliśmy, to był widok drobnych podłostek, cichych szalbierstw, pobożnego wyzysku i kryjomych brudów: atoli obecnie panorama społeczna się zmienia: kler poczyna wydawać ze swego łona kolosów okrucieństwa! śród arystokracji poczynają zjawiać się cyklopowie hańby! Naród od wschodu i zachodu zagrożony falami spiętrzonego naporu z rozpaczą spogląda na gniazda wewnętrznego rozkładu, który podnosi łeb zuchwale i wrogo, i przemawia już nie sykiem zdradzieckiej gadziny w mrokach podziemia, ale donośnie i butnie żąda dla siebie praw na otwartej widowni życia.

Dwaj dziedzice historycznych nazwisk polskich— hrabiowie Antoni Wodzicki i Henryk Potocki zaprzedali rządowi pruskiemu, w okresie stosowania przeciwko nam najsroższej polityki eksterminacyjnej, olbrzymi szmat ziemi polskiej, wynoszący dziesiątki tysięcy morgów.

Doprawdy trudno obronić się uczuciom zgrozy, porównywając ze sobą rzeczy tak niesłychane, ale, przemógłszy odrazę, spróbujmy postawić obok siebie O. Damazego, który ręką skrwawioną bratobójstwem rabował perły z obrazu uwielbianego bóstwa i tych dwu magnatów, którzy ziemię rodzoną, przesiąkniętą potem ludu polskiego, użyźnianą jego pracą i kośćmi pokoleń, pomieniali na srebrniki Judaszowe dla pozyskania wygód i przepychu życia, postawmy ich obok siebie, zgrupujmy w trójcę posągową i zastanówmy się po czyjej stronie wina jest straszniejsza? A gdy przyjdziemy do przekonania, że na winy ich niema sądu w obrębie sprawiedliwości ludzkiej, gdyż ogromem swym przerastają jej miary, wówczas przypomnijmy sobie, że dla ludzi tych jeszcze niedawno żądano od mas ludu szacunku, uznania, stawiając ich na świeczniku godności.

Natychmiastowe usunięcie po za nawias narodu jednostek obarczonych zbrodnią przeciwko niemu winno stać się nieubłaganym nagłym odruchem ze strony tych klas, w których hańba powstaje. Czy kler oraz arystokracja zdobędzie się na odwagę ścisłego przepatrzenia swych szeregów? — Słyszeliśmy że hr. Wodzicki musiał ustąpić w Galicji z funkcji obywatelskiej, którą sprawował.

Czy również hr. Henryk Potocki zmuszony zostanie opuścić stanowisko polityki Realnej, w którym tak żywy brał udział? Czyli cofną mu swe zaufanie wyborcy, z których ramienia hrabia reprezentuje interesy kraju w Radzie państwa? — Nie uprzedzajmy przyszłości, która nie w naszym jest ręku. To pewna, że jeśli magnaci oraz duchowieństwo usankcjonują w łonie swym zarazę zgnilizny, oszczędzimy sobie nadal polemizowania z nimi i oszczędzimy zarazem naszej dla nich pogardy: albowiem świadczyć to będzie, że ani myśl ani uczucie nie znajdzie do świata tego do stępu, i odtąd jedynie świst szpicruty spędzać powinien tych panów z obszarów życia narodowego na boisko pól wyścigowych, gdzie dotąd jeszcze najmniej się okazali szkodliwi.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Chwila obecna, zabójcza dla wszelkich kruchych i wygórowanych programów, sprzyja jednakże dążeniom *syntetycznym* ze strony tych żywiołów lewicowych, które umiały ustrzec się od apatji. Kładzie na to nacisk *Kurjer* lubelski w artykule programowym, stwierdzając, że:

> Z całego chaosu doby rewolucyjnej ustalił się dla nas fakt niezawodny, iż droga dla współdziałania ludzkości, to nie rozpływanie się w morzu wszechludzkim, ale wnoszenie w nie jasnej i określonej odrębnej indywidualności— własnego narodu. Stojąc zaś na stanowisku narodu, na stanowisku etnograficznej Polski — i uważając pojęcie narodowości za ściśle odgraniczone od pojęcia państwowości, uważamy za główną naszą wytyczną, lojalizm wobec własnego narodu.
>
> Uważamy dalej, że rozwój indywidualności naszej narodowej, nie da się urzeczywistnić bez usunięcia wewnętrznych hamulców, przeciwstawiających się ewolucji naszego narodu. Jest to zatym hasło wyswobodzenia myśli i pracy z pod wewnętrznego ucisku.
>
> Wyswobodzenie myśli może się dokonywać li tylko za pomocą metody wolnej myśli, metody antydoktrynerskiej i antydogmatycznej we wszelkich dziedzinach myśli ludzkiej.
>
> Z metod wyzwolenia pracy uważamy za najważniejszą, metodę angielską tradeunjonizmu i kooperatyw, metodę idącą prosto do celu t. j. do powiększenia potęgi i siły warstw pracujących, nie przesądzamy jednak dróg innych, osądzając ich wartość nie na podstawie teoretycznych dociekań, ale praktycznych przez nie osiąganych rezultatów.

* Bardzo ważną jest rzeczą, by opinja polska zyskała stały i bezpośredni kontakt ze sferami postępowych Rosjan, których poglądy na kwestje naszego życia często są błędnie i dowolnie formułowane przez pośredników z otoczenia b. prezesa Koła. Świadczy o tym serja niedawnych enuncjacji *Gazety Warszawskiej* p. t. *Liberalna Rosja i Polacy.*

Należy też poczytać za niemałą zasługę obu warszawskim dziennikom postępowym, że tę lukę postanowiły wypełnić. *Kurjer Poranny* dał nam niedawno możność zapoznania się z opinją posła Rodiczewa o stosunkach polsko-rosyjskich, ostatnio zaś *Nowa Gazeta* ogłosiła wywiad z p. S. Petrunkiewiczem, również wybitnym członkiem partji „Kadetów“. Omawiając ogólne stanowisko „kadetów“ w kwestji polskiej, Petrunkiewicz zaznaczył przedewszystkim, że interesy Polaków i Rosjan nie są rozbieżne, zaś położenie międzynarodowe jest dziś tego rodzaju, że nakłonić powinno ku zgodzie.

> Dla ustanowienia zaś takiej zgody nieodzownem jest nadanie Królestwu Polskiemu praw autonomicznych, któreby mu dały możność zupełnego rozporządzania swem życiem wewnętrznem, nie wchodząc w kolizję z warunkami istnienia państwa Rosyjskiego.
>
> Taki stan rzeczy, rozumie się, jest do osiągnięcia dopiero wówczas, gdy w Rosji zatryumfują prądy liberalne, — dlatego też dla Polski wskazanym i celowym jest jedynie sojusz z liberalizmem rosyjskim, który zapewnił Rosji spokój, a Polsce — autonomię.
>
> Wszelkie dążenia Polaków, o ile one zamierzają do oparcia się na konserwatywnych żywiołach Rosji muszą zakończyć się fiaskiem i do niczego nie prowadzą. Wszak rosyjscy konserwatyści są zarazem reakcjonistami, a sojusz z reakcją nie może dać Polsce ani źdźiebełka wolności“.

P. Petrunkiewicz jest oczywiście również rzecznikiem zgodnego pożycia wszystkich żywiołów, zamieszkujących Królestwo Polskie, zastrzega się jednak, że w tej sprawie decydować mogą sami tylko Polacy:

> Naszem zdaniem, skoro los historyczny zaprowadził pod jeden dach Polaków, żydów i Litwinów — to przedewszystkiem winny być stworzone takie warunki, któreby dały wszystkim żywiołom możność osiągania celów kulturalnych. Jest to koniecznem i dla państwa i dla oddzielnych żywiołów, których interesy można pogodzić. Tak w tej kwestji: jak i w każdej innej, bronimy praw mniejszości. Nie uważamy jednak, abyśmy takiem lub innym postępowaniem mieli prawo narzucać swe poglądy Polakom, o ile kwestja tyczy się wewnętrznego układu życia polskiego“.

Wreszcie, w sprawie ograniczenia praw żydów w samorządzie miejskim, p. Petrunkiewicz wypowiedział się w sposób następujący:

> Nie chcę sądzić jako doktryner, lecz z punktu widzenia praktycznego; stojąc na gruncie podziału obywateli na kategorję pierwszą i drugą, niszczy się grunt na którym Polacy przedewszystkiem muszą prowadzić walkę z reakcją, która ich wszak również do obywateli drugiego rzędu zalicza“.

Zwięzła i dobitna opinja wpływowego „kadeta“, wespół ze szlachetnymi słowami Rodiczewa, umacniając stanowisko polskich kół postępowych, kładzie kres nieporozumieniu, wytworzonemu przez *Gazetę Warszawską.*

Książki nadesłane do Redakcji:

Roumald Minkiewicz. „Nad morzem mojem“. Księga tęsknoty. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni E. Wonde i Sp Str. 150.

Romuald Minkiewiez „Lucjan“, dramat współczesny i przyszłych pokoleń. Pięć aktów z prologiem. Warszawa 1911. E. Wende i Sp. Str. 126.

Wacław Berent: „Ozimina“ powieść. Nakład Jakóba Mortkowicza, 1911, str. 340.

Władysław M Kozłowski: „Historja filozoficzna powstawania i rozwoju umysłowości współczesnej“. Tom I — Część 1. Inicjatorzy i punkty wyjścia. Książka wydana z udziałem zapomogi Kasy im. d-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni M. Arcta. 1910, str. 244.

Selma Lagerlöf. „Cudowna podróż“, część trzecia. Przekład J Mortkowiczowej. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1911, str. 179.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.